



**GEORGE
ORWELL**

**Na dnie w Paryżu
i Londynie**

**GEORGE
ORWELL**

**Na dnie w Paryżu
i Londynie**

Przekład
Marcin Barski

vis-à-vis
et ludo

Kraków 2023

Tytul oryginalu: *Down and out in Paris and London*

O ubóstwo! Krzywdę straszliwą!

Chaucer

Rue du Coq d'Or, Paryż, siódma rano. Sekwencja wściekłych, ochrypłych krzyków z ulicy. Madame Monce, właścicielka małego hotelu naprzeciwko, wyszła na chodnik i beszta lokatorkę z trzeciego pietra. Na bosych stopach ma saboty, na ramiona opadają jej siwe włosy.

Madame Monce: – *Salope! Salope!* Ile razy mówiłam ci, żebyś nie rozgniatła pluskiew na tapetach? Wydaje ci się, że to twój hotel czy co? Dlaczego nie możesz wyrzucać ich przez okno jak wszyscy inni? *Putain! Salope!*

Kobieta z trzeciego piętra: – *Vache!*

Po czym rozbrzmiewa chór różnorodnych krzyków, z każdej strony otwierają się okna i pół ulicy dołącza do kłótni. Dziesięć minut później wszystko gwałtownie milknie, gdyż przejeżdża szwadron kawalerii i wszyscy chcą się przyjrzeć żołnierzom.

Kreślę tę scenę, by choćby częściowo oddać klimat rue du Coq d'Or. Nie żeby kłótnie były jedyną tutejszą atrakcją, wciąż jednak rzadko zdarzały się poranki bez choćby jednego podobnego wybuchu. Awantury, żalosne nawoływania ulicznych handlarzy, okrzyki dzieci uganiających się na bruku za skórkami pomarańczy, a nocą głośne śpiewy i kwaśny odór wozów z odpadkami – wszystko to składało się na atmosferę ulicy.

Była to bardzo wąska uliczka – wąwóz otoczony wysokimi, owrzodzonymi kamienicami, pochylonymi dziwacznie ku sobie, jak gdyby zamrożonymi w akcie upadku. Wszystkie budynki mieściły hotele, wypełnione po brzegi lokato-

rami, głównie Polakami, Arabami i Włochami. Na parterach hoteli znajdowały się maleńkie *bistra*, gdzie można było się upić za równowartość szylinga. W sobotnie wieczory mniej więcej jedna trzecia męskich mieszkańców dzielnicy chodziła pijanych w sztok. Zdarzały się bójki o kobiety, arabscy robotnicy, zamieszkujący najtańsze hoteliki, prowadzili między sobą tajemnicze spory, rozstrzygane przy pomocy krzesel, a czasem także rewolwerów. Nocą policjanci patrolowali te zaułki jedynie dwójkami. Była to dość szemrana okolica, a mimo to, pośród hałasu i brudu, mieszkali tu także zwykli, szacowni francuscy sklepikarze, piekarze czy praczki, trzymający się razem z boku i po cichu ciulający swoje małe fortuny. W sumie była to dość typowa paryska dzielnica biedy.

Mój hotel nazywał się Hôtel des Trois Moineaux. Była to ciemna, rozklekotana nora o pięciu piętrach, podzielona drewnianymi przegrodami na czterdzieści pokoików. Każdy z nich był maleńki i niewiarygodnie brudny, jako że hotel nie zatrudniał pokojówki, a Madame F., *patronne*, nie miała czasu na żadne porządki. Ściany były cienkie jak zapalka, a w celu ukrycia pęknięć pokryto je kolejnymi warstwami różowej tapety, które wciąż odpadały i za którymi gnieździły się niezliczone ilości pluskw. Robactwo wędrowało pod sufitem całymi dniami niczym kolumny żołnierzy, nocami zaś schodziło wygłodniałe na żer, trzeba więc było wstawiać co kilka godzin i tłuc je całymi setkami. Czasami, gdy pluskwy stawały się nie do zniesienia, zapalało się siarkę, by przegonić je do sąsiedniego pokoju; po czym zazwyczaj lokator za ścianą również okadzał swój pokój i pluskwy wracały. Było to miejsce brudne, ale bardzo przyjazne. Madame F. i jej mąż byli bowiem dobrymi ludźmi. Czynsz za pokoje wynosił od trzydziestu do pięćdziesięciu franków za tydzień.

Lokatorzy często się zmieniali, byli to głównie obco-krajowcy, którzy przybywali tu bez bagażu, zostawali na tydzień, a później znów znikali. Byli wśród nich przedstawiciele wszelkich profesji: szewcy, murarze, kamieniarze, robotnicy niewykwalifikowani, studenci, prostytutki, galganiarze. Niektórzy z nich niebywale biedni. Na poddaszu pomieszkiwał bułgarski student, który wytwarzał eleganckie buty dla amerykańskich klientów. Od szóstej do dwunastej siedział na łóżku, produkując tuzin par i zarabiając trzydzieści pięć franków; resztę dnia spędzał, słuchając wykładów na Sorbonie. Studiował nauki kościelne, więc na podłodze jego pokoju pośród skrawków skóry wałowały się książki teologiczne. W innym pokoju mieszkała Rosjanka z synem, który sam siebie nazywał artystą. Matka pracowała po szesnastu godzin dziennie, cerując skarpety za dwadzieścia pięć centymów od sztuki, a tymczasem syn, porządnie ubrany, objął się w kawiarniach Montparnasse. Jeszcze inny pokój został wynajęty dwóm różnym lokatorom, z których jeden pracował za dnia, a drugi nocą. W kolejnym pokoju starszy wdowiec dzielił łóżko z dwiema dorosłymi córkami, które obie chorowały na gruźlicę.

W hotelu nie brakowało postaci ekscentrycznych. Paryskie dzielnice biedy to miejsca, które przyciągają dziwaków – osobników, którzy znalazłszy się na samotnych, na wpół obłąkanych manowcach życia, przestali udawać ludzi normalnych czy choćby przyzwoitych. Ubóstwo daje im wolność od zwykłych norm społecznych, podobnie jak pieniądze uwalniają ludzi od obowiązku pracy. Niektórzy spośród lokatorów naszego hotelu wiedli życia osobliwe nie do opisanania.

Tacy na przykład Rougierowie, para starszych, karzelkowatych łachmaniarzy, zajmujących się dość niezwykłym

handlem. Sprzedawali pocztówki na bulwarze św. Michała. Co ciekawe, pocztówki zapakowane były w pakiety i sprzedawane jako pornografia, podczas gdy w rzeczywistości były to zdjęcia zamków nad Loarą. Kupujący przekonywali się o tym, gdy było już za późno, i oczywiście nigdy nie zgłaszali pretensji. Rougierowie zarabiali około stu franków tygodniowo i dzięki żelaznej dyscyplinie wydatków potrafili pozostawać przez cały czas na wpół głodni i na wpół pijani. Ich pokój był tak brudny, że smród czuć było piętro niżej. Madame F. twierdziła, że żadne z Rougierów nie zmieniało ubrań od czterech lat.

Albo Henri, który pracował jako kanalarz. Był wysokim, melancholijnie usposobionym mężczyzną o kręconych włosach i nieco romantycznym wyglądzie, podkreślonym przez wysokie kalosze. Osobliwość Henriego polegała na tym, że całymi dniami, z wyjątkiem godzin pracy, potrafił się nie odzywać. Zaledwie rok wcześniej był zatrudniony jako szofer u dobrego pracodawcy i zarabiał tyle, że był w stanie odkładać pieniądze na przyszłość. Któregoś dnia zakochał się, a gdy dziewczyna odrzuciła jego zaloty, stracił panowanie nad sobą i kopnął ją. Kopnięcie to sprawiło, że dziewczyna niespodziewanie odwzajemniła jego uczucie z wielką siłą, i przez pół miesiąca żyli razem, wydając tysiąc franków z oszczędności Henriego. Po tym czasie dziewczę okazało się jednak niewierne, w związku z czym Henri dźgnął je nożem w ramię, za co trafił do więzienia na sześć miesięcy. W wyniku odniesionej rany dziewczę zakochało się w Henrim jeszcze mocniej. Para pogodziła się i postanowiła, że po wyjściu Henriego z więzienia kupią taksówkę, pobiorą się i ustatkują. Jednak dwa tygodnie później dziewczyna znów zdradziła, a gdy Henri wyszedł z więzienia, była już w ciąży. Henri nie dźgnął jej po raz drugi. Wpadł w alkoholo-

lowy ciąg i przepił wszystkie oszczędności, co skończyło się kolejnym miesiącem w areszcie; po wyjściu na wolność znalazł pracę w kanałach. Nic nie mogło zmusić go do mówienia. Gdy pytano go, dlaczego pracuje jako kanalarz, nie odpowiadał, jedynie pokazywał dłonie skrzyżowane w nadgarstkach, co miało symbolizować kajdanki, i głową wskazywał południe, kierunek, w którym znajdował się areszt. Nadmiar nieszczęść najwyraźniej pomieszał mu w głowie.

Albo R., Anglik, który pół roku spędzał u rodziców w Putney, a drugie pół we Francji. We Francji wypijał cztery litry wina dziennie i sześć litrów w soboty. Pewnego razu wybrał się aż na Azory, gdyż podobno wino jest tam tańsze niż gdziekolwiek indziej w Europie. Był typem łagodnego domatora, który nigdy nie awanturował się ani nigdy nie trzeźwiał. Do południa wylegiwał się w łóżku, a od południa do północy zajmował swój kącik w *bistro*, upijając się po cichu i metodycznie. W trakcie owego upijania się przemawiał wytwornym, nieco kobiecym głosem na temat antycznych mebli. Oprócz mnie R. był jedynym Anglikiem mieszkającym w dzielnicy.

Mnóstwo innych osób żyło tu w sposób równie ekscentryczny: Monsieur Jules, Rumun o szklanym oku, czemu bezustannie zaprzeczał, Furex, kamieniarz z regionu Limousin, sknera Roucolle – choć ten akurat zmarł przed moim przyjazdem, stary Laurent, handlarz szmat, kopiujący swój własny podpis ze wzoru na skrawku papieru, który zawsze nosił w kieszeni. Gdyby mi czasu starczyło, z wielką frajdą napisałbym biografie niektórych z nich. Próbuję opisać ludzi z naszej dzielnicy nie dlatego, że są tak osobliwymi postaciami, lecz dlatego, że wszyscy są częścią tej opowieści. Opowiadam tu bowiem o nędzy, tej zaś po raz pierwszy

zaznałem właśnie w slumsach Paryża. Dzielnica ta, pełna brudu i przedziwnych osobników, zapewniła mi pierwszą lekcję poglądową na temat ubóstwa, a później stanowiła tło moich własnych doświadczeń. To właśnie z tego powodu próbuję po krótkce dać obraz tego, jak wyglądało tutaj życie.

2

Życie w dzielnicy. Na przykład nasze *bistro*, znajdujące się na parterze Hôtel des Trois Moineaux, częściowo w sutenerze. Mała sala o ceglanej podłodze, przesiąknięte winem stoły i fotografia jakiegoś pogrzebu, podpisana *Crédit est mort*; do tego przepasani czerwonymi szarfami robotnicy, krojący kielbasy wielkimi scyzorykami; i Madame F., wspaniała chłopka z Owernii o twarzy charakternej krowy, całymi dniami popijająca malagę „na żołądek”; i partie gry w kości o *apéritifs*; piosenki o *Les Fraises et Les Framboises* oraz o Madelon, która powiedziała: – *Comment épouser un soldat, moi qui aime tout le régiment?* – no i ów zdumiewający obyczaj publicznego uprawiania amorów. Wieczorami w *bistro* spotykała się połowa mieszkańców hotelu. Wątpię, by w Londynie dało się znaleźć pub, choć w ćwierci równie wesoły.

Można tam było usłyszeć przedziwne rozmowy. Jako przykład przytoczę słowa Charliego, jednej z lokalnych osobliwości.

Charlie to młodzieniec pochodzący z dobrej rodziny i nieźle wykształcony, który uciekł z domu i odtąd żył z nieregularnych przekazów pieniężnych od rodziców. Cerę ma wyjątkowo różową, policzki zdrowe, ciemne włosy delikatne jak u małego chłopca, a usta wyjątkowo czerwone i wil-

gotne niczym wiśnie. Stopy małeńkie, ramiona nieproporcjonalnie krótkie, dołeczki na dłoniach jak u niemowlaka. Gdy mówi, jego ciało płąsa i tańczy, jak gdyby nadmiar energii i radości życia nie pozwalał mu choćby na moment pozostać w bezruchu. Jest trzecia po południu i w *bistro* nie ma nikogo oprócz Madame F. oraz dwóch czy trzech mężczyzn chwilowo pozostających bez pracy. Charliemu nie robi jednak większej różnicy to, z kim rozmawia, przynajmniej tak długo, jak pozwala się mu mówić o sobie. Deklamuje niczym mówca na barykadzie, tocząc słowa z namaszczaniem i gestykulując krótkimi ramionami. Jego małe, nieco świńskie oczka lśnią entuzjazmem. Z jakiegoś powodu obserwowanie go jest głęboko odrażające.

Przemawia na temat miłości, która jest jego ulubionym tematem.

— *Ah, l'amour, l'amour! Ah, que les femmes m'ont tué!* Niestety, *messieurs et dames*, kobiety zawsze prowadziły mnie do zguby, do zguby beznadziejnej. W wieku lat dwudziestu dwóch jestem śmiertelnie zmęczony i skończony. Ale za to jakich rzeczy się nauczyłem! Jakież otchłanie mądrości zgłębiłem! Jakże wspaniale jest posiąść prawdziwą mądrość, stać się człowiekiem cywilizowanym w najwyższym tego słowa znaczeniu, stać się *raffiné, vicieux* i tak dalej, i tak dalej.

Messieurs et dames, dostrzegam wasz smutek. *Ah, mais la vie est belle* — nie wolno się smuć. Weselcie się, zaklinam was!

Zamijskiego wina daj, dżewtszyno! Ludzkie z tfarzą szmutną, bądźźce zdrowi!

Ah, que la vie est belle! Słuchajcie, *messieurs et dames*, gdyż pełnia mego doświadczenia pozwala mi prawić o miłości. Wyjaśnię wam zatem, jakie jest prawdziwe znaczenie miłości — czymże jest prawdziwa wrażliwość, wyższa i naj-

bardziej wyrafinowana z rozkoszy, znana jedynie ludziom cywilizowanym. Opowiem o najszcześniejszym dniu mojego życia. Niestety, dawno minął już czas, gdym znalazł taki rodzaj szczęścia. Czas ów już nigdy nie wróci, zarówno nadzieja, jak i pragnienie owego stanu odeszły mnie już na zawsze.

Śluchajcie więc. Zdarzyło się to dwa lata temu. Mój brat przebywał wówczas w Paryżu – jest on prawnikiem – a rodzice nasi nakazali mu odnaleźć mnie i zaprosić na kolację. Nienawidzimy się z bratem wzajemnie, postanowiliśmy jednak być posłuszni woli rodziców. Jednakże podczas kolacji mój brat upił się srogo trzema butelkami bordeaux. Zabrałem go do jego hotelu, kupiwszy po drodze butelkę brandy, a na miejscu uraczyłem go szklaneczką, wmawiając mu, że to pomoże mu otrzeźwieć. Wypił i zaraz padł na podłogę kompletnie zamroczony. Podniosłem go i oparłem plecami o łóżko, po czym przeszukałem kieszenie jego marynarki. Znalazłem tysiąc sto franków, schowawszy je do własnej kieszeni, zbiegłem po schodach, wskoczyłem do taksówki i uciekłem. Mój brat nie znalazł mojego adresu, byłem więc bezpieczny.

Dokąd udaje się mężczyzna, gdy ma pieniądze? Naturalnie do burdelu. Nie sądzicie chyba jednak, że miałem zamiar tracić czas na jakąś wulgarną rozpustę odpowiednią być może dla robotników? Nic z tych rzeczy, jest się przecież człowiekiem kulturalnym! Byłem zlakniony i zarazem wybredny, wszak miałem w kieszeni tysiąc franków. Wybiła północ, nim znalazłem to, czego szukałem. Natknąłem się na bystrego młodzieńca, w wieku lat może osiemnastu, ubranego *en smoking* i z włosami zaczesanymi *à l'américaine*. Rozmawialiśmy w cichym *bistro*, z dala od bulwarów. Doskonale się rozumieliśmy. Mówiliśmy o tym i o owym, w tym

także o różnych rodzajach rozrywek. Wkrótce wsiedliśmy do taksówki i ruszyliśmy w drogę.

Taksówka zatrzymała się w wąskiej uliczce na uboczu, oświetlonej jedynie słabym światłem latarni gazowej. Na bruku lśniły ciemne plamy kałuż. Wzdłuż uliczki wznosił się nagi mur jakiegoś klasztoru. Mój przewodnik prowadził mnie ku wysokiej, zrzuconej kamienicy o zatrzaśniętych okiennicach, i kilkukrotnie zapukał do drzwi. Po chwili z wewnątrz dało się słyszeć kroki i trzask zamków, a drzwi lekko się uchyliły. Wysunęła się zza nich ręka; była to ręka wielka i zakrzywiona, podetknęła nam dłoń pod nosy, żądając pieniędzy.

Mój przewodnik wsunął stopę między drzwi i zapytał:

– Ile chcesz?

– Tysiąc franków – odpowiedział kobiecy głos. – Placicie z góry albo nie wchodzić.

Wsunąłem w dłoń tysiąc franków, a pozostałe sto wręczyłem przewodnikowi, który pożegnał się i odszedł. Usłyszałem dochodzący ze środka szelest liczenia banknotów, po czym chuda wiedźma w czarnej sukni wysunęła na zewnątrz nos, zmierzyła mnie podejrzliwym spojrzeniem i wreszcie wpuściła do domu. Było tam zupełnie ciemno, nie widziałem nic prócz migotliwego światła palnika gazowego, padającego na otynkowaną ścianę i pograżającego wszystko inne w głębokim cieniu. Czuć było smród szczurów i kurz. Kobieta bez słowa odpaliła świecę od palnika i pokuśtykała przodem, prowadząc mnie korytarzem ku kamiennym schodkom.

– *Voilà!* – powiedziała. – Zejdź do piwnicy i czyń, co chcesz. Ja nic nie widzę, nie słyszę, nie wiem. Wolno ci wszystko, rozumiesz? Absolutnie wszystko.

Ha, *messieurs*, czyż muszę wam to opisywać – *forcément*, sami to znacie, ów dreszcz na wpół wynikający z grozy, na wpół z radości, który w takich chwilach przenika ciało. Szedłem w dół, ręką badając ścianę, słyszałem jedynie własny oddech i szuranie moich butów na kamiennych stopniach, prócz tego panowała kompletna cisza. Na końcu schodów wyczułem dłonią przełącznik elektryczny. Przekręciłem go, a wielki żyrandol z tuzinem czerwonych żarówek zalal piwnicę krwawym światłem. Ujrzałem wówczas, że piwnica nie jest wcale piwnicą, tylko raczej sypialnią – wspaniałą, bogatą, oślepiająco udekorowaną sypialnią, w której wszystko, od podłogi po sufit, urządzone było w kolorze krwiście czerwonym. Wyobraźcie to sobie, *messieurs et dames!* Czerwony dywan na posadzce, czerwone tapety na ścianach, czerwone pluszowe obicia krzesel, nawet sufit pomalowany na czerwono; czerwień wszędzie, czerwień drażniąca zmysły. I była to czerwień ciężka, dusząca, jak gdyby wywołana światłem przepuszczonym przez naczynia z krwią. Na drugim końcu pomieszczenia stało wielkie kwadratowe łóże przykryte kołdrami w tym samym odcieniu czerwieni, a na nich leżała dziewczyna, ubrana w aksamitną, czerwoną suknię. Na mój widok skuliła się, usiłując ukryć kolana pod krótką suknią. Zatrzymałem się przy wejściu.

– Podejdz tu, dziecino – zawolałem.

Dziewczyna wydała z siebie jęk trwogi. W mgnieniu oka znalazłem się przy łóżku. Próbowwała wymknąć mi się, lecz chwyciłem ją za gardło – o tak, widzicie? – mocno! Walczyła, błagała o litość, trzymałem jednak z całych sił, odchylając jej głowę i patrząc jej w twarz. Miała jakieś dwadzieścia lat, jej twarz była szeroka i tępa jak u głupiego dziecka, przykrywała ją jednak warstwa szminki i pudru. Jej błękitne

głupie oczy lśniły w krwawym świetle, przepelnione lękiem i zagubieniem, jakie widuje się tylko w oczach tego rodzaju kobiet. Bez wątpienia była to prosta chłopka, którą rodzice sprzedali w niewolę.

Bez zbędnych słów zsunąłem ją z łoża i cisnąłem na podłogę, po czym sam rzuciłem się na nią jak tygrys! Och radości! Cóż za nieporównywalne z niczym uniesienie wówczas poczułem! O tym właśnie, *messieurs et dames*, chcę wam tutaj opowiedzieć. *Voilà l'amour!* Oto miłość prawdziwa, oto jedyna rzecz w świecie, o jaką warto się starać, oto coś, przy czym bledną wszystkie wasze sztuki, ideały, wszystkie wasze filozofie i religie, wszystkie piękne słowa i wzniosłe czyny. Wszystko to staje się bezwartościowe jak popiół. Gdy raz doświadczyło się miłości – miłości prawdziwej – to czyż istnieje cokolwiek na świecie, co w porównaniu z nią nie byłoby zaledwie wątłym cieniem rozkoszy?

Ponawiałem swe ataki z coraz większą dzikością, dziewczyna raz za razem próbowała uciekać. Błagała o litość, a ja śmiałem się jej w twarz.

– Litości! – drwiłem. – Czy naprawdę myślisz, że przyszedłem tu okazywać litość? Czy myślisz, że po to właśnie zapłaciłem tysiąc franków? – Przysięgam wam, *messieurs et dames*, że gdyby nie przeklęte prawo, które okrada nas z naszej wolności, zamordowałbym ją wówczas na miejscu.

Och, jakże ona krzyczała, jakże gorzkie były jej okrzyki cierpienia. Nie było jednak nikogo, kto mógłby je usłyszeć. Głęboko pod ulicami Paryża byliśmy bezpieczni jak w sercu piramidy. Łzy płynęły po twarzy dziewczyny, zmywając puder i pozostawiając długie brudne smugi. Och, cóż to był za niezapomniany czas! *Messieurs et dames*, wy,

którzy nigdy nie doświadczyliście subtelniejszych uniesień miłości, dla was ten rodzaj rozkoszy jest niemal nie do pojęcia. Ale i ja teraz, gdy moja młodość minęła – ach, młodość! – nigdy już nie ujrzę życia tak pięknym jak wtedy. Skończone.

Wszystko już skończone, na zawsze. Ach, nędza, krótkotrwałość, rozczarowanie towarzyszące ludzkiej radości! Jak długo bowiem trwa w rzeczywistości – *car en réalité* – owa najwyższa rozkosz miłości? Tyle co nic, moment, być może sekundę. Sekunda ekstazy, a po niej proch, popiół, nicość.

Tak więc na jedną krótką chwilę schwyciłem owo szczęście najwyższe, najbardziej wyrafinowaną emocję, do jakiej dążyć może istota ludzka. I w tejże samej chwili ona zgasła, a ja zostałem z niczym. Cała ma dzikość, namiętność rozwiąły się niczym płatki róży. Stałem się zimny i znużony, pelen próżnych wyrzutów sumienia. Zacząłem niemalże współczuć dziewczynie lkającej na podłodze. Czyż to nie odrażające, że padamy ofiarą tak okrutnych emocji? Nie spojrzałem na nią więcej, myślałem tylko o tym, by się stamtąd wydostać. Szybkim krokiem wybiegłem po schodach na górę, a później na ulicę. Było ciemno i przeszywająco zimno, ulice były puste, moje obcasy uderzały o bruk z pustym stukiem. Straciłem wszystkie pieniądze, nie stać mnie było nawet na taksówkę. Piechotą wróciłem do mojego zimnego, pustego pokoju.

Oto właśnie, *messieurs et dames*, to, co obiecałem wam wyjawić. Oto właśnie Miłość. Tamten dzień był najszczęśliwszym dniem mojego życia.

Charlie był osobliwym typem. Opisuję go, by pokazać, jak bardzo różne i dziwne postacie można było spotkać w dzielnicy Coq d'Or.

Mieszkalem w dzielnicy Coq d'Or przez półtora roku. Któregoś letniego dnia odkryłem, że zostało mi zaledwie czterysta pięćdziesiąt franków oszczędności, a mój tygodniowy dochód w tamtym czasie wynosił trzydzieści sześć franków, które zarabiałem, udzielając lekcji angielskiego. Dotychczas nie zastanawiałem się nad przyszłością, teraz jednak musiałem działać, i to szybko. Postanowiłem zacząć szukać pracy oraz zapłacić dwieście franków miesięcznego czynszu z góry – jak się okazało później, była to bardzo dobra decyzja. Mając pozostałe dwieście pięćdziesiąt franków oraz regularny dochód z korepetycji, spokojnie mogłem przeżyć miesiąc i znaleźć w tym czasie pracę. Chciałem zostać przewodnikiem dla którejś z agencji turystycznych, rozważałem też posadę tłumacza. Niestety, pech pokrzyżował moje plany.

Pewnego dnia w naszym hotelu pojawił się młody Włoch, który twierdził, że jest kompozytorem. Była to postać niejednoznaczna, jego bokobrody sugerowały bowiem, iż jest albo łotrem, albo intelektualistą, i nikt nie miał całkowitej pewności, do której z tych grup go zaliczyć. Nie spodobał się Madame F. i kazała zapłacić mu tygodniowy czynsz z góry. Włoch zapłacił i zamieszkał w hotelu na sześć nocy. W tym czasie dorobił klucze i ostatniej nocy obrabował tuzin pokoiów, w tym mój. Na szczęście nie znalazł pieniędzy, które miałem w kieszeniach, dzięki czemu nie zostałem bez grosza przy duszy. Miałem teraz jedynie czterdzieści siedem franków, czyli siedem szylingów i dziesięć pensów.

Zdarzenie to położyło kres moim planom poszukiwania pracy. Musiałem teraz zacząć żyć za sześć franków dzien-

nie, i od początku było to zbyt trudne, bym mógł skupić się na czymkolwiek innym. W tym momencie rozpoczęło się moje doświadczenie ubóstwa, jeśli nie całkowitej nędzy – sześć franków dziennie stanowiło bowiem granicę skrajnej biedy. Sześć franków to jeden szyling. Za szylinga dziennie można przeżyć w Paryżu, jeśli wie się jak. Ale nie jest to łatwe.

Pierwszy kontakt z biedą to interesujące doświadczenie. Wcześniej wiele rozmyślałeś o biedzie, bieda była tym, czego obawiałeś się przez całe swoje życie, i wiedziałeś, że prędzej czy później cię dopadnie. Jednak gdy już do tego dojdzie, okazuje się, że jest to doświadczenie skrajnie odmienne od tego, czego się spodziewałeś. Myślałeś, że życie w nędzy będzie nieskomplikowane, tymczasem jest ono niewiarygodnie zawile. Myślałeś, że będzie straszne, tymczasem jest ono co najwyżej uciążliwe i nudne. W pierwszej kolejności odkrywasz ów szczególny rodzaj poniżenia, wybiegi, do których jesteś zmuszany, skomplikowaną podłość, wyjadanie resztek.

Dostrzegasz na przykład dyskrecję związaną z ubóstwem. Nagłym zrzędzeniem losu masz odtąd żyć za sześć franków dziennie. Oczywiście jednak nie odważysz się do tego przyznać – musisz udawać, że żyjesz tak jak dawniej. Od samego początku wikła cię to w sieć kłamstw, ale nawet one z trudem pozwalają ci utrzymać pozory. Przestajesz wysyłać ubrania do pralni, a praczka zaczepia cię na ulicy i pyta dlaczego; odpowiadasz coś niewyraźnie, a ona uznaje, że wysyłasz rzeczy gdzieś indziej, i obraża się na ciebie do zgonu. Właściciel trafiki dopytuje, dlaczego ograniczyłeś palenie. Otrzymujesz listy, na które chciałbyś odpowiedzieć, ale nie możesz z powodu wysokich cen znaczków pocztowych. I wreszcie posiłki – posiłki stanowią najwięk-